

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



FRYDERYK NIETZSCHE

**Z GENEALOGII
MORALNOŚCI**

**PISMO POLEMICZNE
PRZEŁOŻYŁ LEOPOLD STAFF**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

PRZEDMOWA.

1.

Jesteśmy sobie nieznani, my poznający, my sami samym sobie; ma to słuszną przyczynę. Nie szukaliśmy siebie nigdy, – jakże stać się miało, byśmy się kiedyś z n a l e ź l i? Słusznie powiedziano: »gdzie jest wasz skarb, tam jest i serce wasze«; n a s z skarb jest tam, gdzie stoją ule naszego poznania. Jako skrzydlaki z urodzenia i duchowi zbieracze miodu, dążymy zawsze do tego, troszczymy się z serca właściwie tylko o jedno – »by coś przynieść do domu«. Co się poza tem tyczy życia, tak zwanych »wydarzeń przeżytych«, – któż z nas bierze to choćby tylko dość poważnie? Lub kto ma dość czasu na to? W tych rzeczach, lękam się, byliśmy zawsze »od rzeczy«: nie przykładamy tam właśnie swego serca, ani nawet swego ucha! Raczej, jak jakiś boski roztrzepaniec, lub w sobie zatopiony, któremu dzwon z całą siłą wdzwonił właśnie w ucho dwanaście uderzeń południa, budzi się nagle i pyta siebie »cóż to właściwie tu biło?« tak i my niekiedy przecieramy sobie j u ż p o w s z y s t k i e m uszy i pytamy, ogromnie zdumieni, ogromnie zmieszani, »cóżżeśmy to właściwie przeżyli?« co więcej: »czem j e s t e ś m y właściwie?« i liczymy, już po wszystkim, jak się rzekło, te wszystkie dwanaście uderzeń swego wydarzenia przeżytego, swego życia, swego i s t n i e n i a... ach! i przeliczamy się przytem... Pozostajemy sobie z konieczności obcy, nie rozumiemy siebie, musimy brać siebie za kogoś innego, dla nas pewnikiem jest po wszystkie wieki: »Każdy jest samemu sobie najdalszy«, – względem siebie nie jesteśmy wcale »poznającymi« ...

2.

– Myśli moje o p o c h o d z e n i u naszych przesądów moralnych – bo o nie chodzi w tem piśmie polemicznem – znalazły swój pierwszy, skąpy i tymczasowy wyraz w owym zbiorze aforyzmów, który nosi nagłówek »Ludzkie, arcyłudzkie. Książka dla duchów wolnych«. Spi-sywanie jej rozpoczęło się w Sorrento podczas pewnej zimy, która mi pozwoliła zatrzymać się, jak się zatrzymuje wędrowiec, i przebiec spojrzeniem krainę rozległą i niebezpieczną, przez którą duch mój dotychczas wędrował. Działo się to w zimie 1876—1877; same myśli są wcześniejsze. Były to w głównej treści już te same myśli, które w niniejszych rozprawach na nowo podejmuję. Miejmy nadzieję, że długi przedział czasu wpłynął na nie dobrze, że stały się dojrzałe, jaśniejsze, silniejsze, doskonalsze! Że jednak dziś jeszcze trwam przy nich silnie, że one same tymczasem coraz silniej trzymały się siebie, wrastały w siebie i zrosły się z sobą, to wzmacnia we mnie radosną ufność, że od początku powstawały we mnie nie luźnie, nie dowolnie, nie sporadycznie, lecz ze wspólnego korzenia, lecz z władnącej w głębi, z przemawiającej coraz pewniej, z żądającej coraz większej pewności z a s a d n i c z e j w o l i

poznania. Tak bowiem jedynie przystoi filozofowi. Nie mamy żadnego prawa w czemkolwiek iść pojedynczo. Nie wolno nam błędzić pojedynczo, ani też pojedynczo natknąć się na prawdę. Raczej z koniecznością, z jaką drzewo wydaje owoce, rodzą się z nas myśli nasze, nasze wartości, nasze »tak« i »nie« i »jeżeli« i »czy« – pokrewne sobie i we wzajemnych do siebie stosunkach, świadectwa jednej woli, jednego zdrowia, jednej ziemi, jednego słońca. – Czy one w a m smakują, te nasze owoce? – Lecz cóż to obchodzi drzewa! Cóż to n a s obchodzi, nas filozofów!...

3.

Przy pewnym właściwym mi wątpieniu, które niechętnie wyznaję – stosuje się ono mianowicie do m o r a l n o ś c i, do wszystkiego, co dotąd na ziemi jako moralność było czczone –, przy wątpieniu, które w mem życiu wystąpiło tak wcześnie, tak niewzywianie, tak niepowstrzymanie, tak sprzecznie z otoczeniem, wiekiem, przykładem, pochodzeniem, żebym miał prawie prawo nazwać je swem »a priori«, – musiała ciekawość moja, równie, jak moje podejrzenie, zatrzymać się zawczasu przy pytaniu: j a k i p o c z ą t e k ma właściwie nasze dobro i zło. W istocie już jako trzynastoletniego chłopca prześladował mnie problemat początku zła. Poświęciłem mu w wieku, gdy się ma »na pół igraszki dziecinne, na pół Boga w sercu«, pierwszą swą literacką igraszkę dziecinną, pierwsze swoje filozoficzne ćwiczenie pisemne. A co się tyczy mego ówczesnego »rozwiązania« problematu, to oddałem, jak słuszna, Bogu cześć i uczyniłem go o j c e m zła. Czy t a k właśnie chciało ode mnie me »a priori«, to nowe niemoralne, co najmniej bezmoralne »a priori« i ten przemawiający z niego, ach! tak antykantowski, tak zagadkowy »imperatyw kategoryczny«, któremu tymczasem używałem coraz więcej posłuchu i nietylko posłuchu?... Na szczęście nauczyłem się zawczasu odróżniać przesąd teologiczny od moralnego i nie szukałem już źródła zła p o z a światem. Nieco historycznego i filologicznego wykszolenia, wliczając w to wrodzony wybredny zmysł w zakresie zagadnień psychologicznych wogóle, zmieniło wkrótce mój problemat na inny: wśród jakich warunków wynalazł sobie człowiek owe oceny wartości: »dobrze« i »złe« i j a k ą w a r t o ś ć m a j ą o n e s a m e? Wstrzymywałyż one, czy też popierały rozwój człowieczy? Czy są oznaką niedostatku, zubożenia, zwyrodnienia życia? Lub przeciwnie, czy zdradza się w nich pełnia, siła, wola życia, jego odwaga, jego ufność, jego przyszłość? – Na to znalazłem i zdobyłem się w sobie na zuchwałość różnych odpowiedzi, odróżniałem czasy, ludy, stopnie wedle rangi indywidualuów, specjalizowałem swój problemat, z odpowiedzi rodziły się nowe pytania, badania, przypuszczenia, możliwości. Aż wkońcu zdobyłem własną krainę, własną ziemię, cały milczący rosnący kwitnący świat, jakby tajne ogrody, których nikt nie śmiał przeczuwać... Och, jakże s z c z ę ś l i w i jesteśmy, my poznający, pod warunkiem, byśmy jeno dość długo milczeć umieli!...

4.

Pierwszy bodziec do odezwania się ze swemi hipotezami o pochodzeniu moralności dała mi jasna, przejrzysta i mądra, nawet starczo mądra książeczka, w której po raz pierwszy uwydatnił mi się jasno pewien na wspak i wywrót idący rodzaj genealogicznych hipotez, ich właściwie a n g i e l s k i rodzaj, i która mnie pociągała – tą siłą pociągu, którą posiada wszystko przeciwległe, wszystko antypodyczne. Tytuł książeczki brzmiał »Pochodzenie uczuć moralnych«, jej autor dr. Paweł Rée; rok jej wyjścia 1877. Nigdy może nic nie czytałem, czembym, zdanie po zdaniu, wniosek po wniosku, tak w sobie przeczył, jak tej książce. Lecz zgola bez przykrości i zniecierpliwienia. W powyż oznaczonym dziele, nad którym wówczas pracowałem, uwzględniałem przy sposobności i niesposobności twierdzenia owej książki, nie

żebym je zbijał – cóż ja mam ze zbijaniem do czynienia – lecz, jak pozytywnemu duchowi przystoi, stawiając zamiast nieprawdopodobieństwa to, co prawdopodobniejsze, w danym razie zamiast jednego błędu – inny. Wówczas dobyłem, jak się rzekło, po raz pierwszy na światło dzienne owe hipotezy o pochodzeniu, którym poświęcone są te rozprawy; a uczyniłem to z niezręcznością, którąbym ostatni ukrywać zamierzał przed sobą samym, jeszcze niepewny, jeszcze nie mając własnego języka na własne rzeczy, nie bez cofań i wahań. W szczególach porównaj, co w »Ludzkie, arcyludzkie« na str. 68 mówię o dwoistych przeddziejach dobra i zła (to jest ze stanowiska ludzi dostojnych i ze stanowiska niewolników); tak samo na str. 141 i nast. o wartości i pochodzeniu moralności ascetycznej; tak samo na str. 97 i nast. 101. III, 49 o »obyczajności obyczaju«, tego o wiele starszego i pierwotniejszego rodzaju moralności, który *toto coelo* odległy jest od altruistycznej oceny wartości (w której dr. Rée, jak wszyscy angielscy genealogowie moralności, widzi ocenę wartości s a m a w s o b i e); to samo na str. 93 i nast., Wędrowiec str. 213 i nast., Jutrzenka str. 107 i nast. o pochodzeniu sprawiedliwości, jako wyrównaniu między nieledwie równo-możnymi (równowaga jako konieczny warunek wszelkich umów, przeto wszelkiego prawa); to samo o pochodzeniu kary (Wędrowiec str. 208, 217 i nast.), dla której terrorystyczny cel nie jest ani istotnym, ani pierwotnym (jak dr. Rée mniema: – został on w nią dopiero włożony, wśród określonych okoliczności i zawsze jako coś wtórnego i następczego).

5.

W gruncie rzeczy leżało mi właśnie wówczas coś o wiele ważniejszego na sercu, niż sprawy własnych lub cudzych hipotez o pochodzeniu moralności (lub dokładniej: to ostatnie tylko dla celu, do którego jest jednym z wielu środków). Chodziło mi o w a r t o ś ć moralności, – i musiałem się o to prawie sam jeden rozprawić ze swym wielkim nauczycielem Schopenhau-rem, do którego, jako do obecnego w owej książce, namiętność i tajemny sprzeciw owej książki się zwraca (– bo i owa książka była »pismem polemicznem«). W szczególności chodziło o wartość »nieegoistyczności« instynktów litości, samozaparcia, ofiary z samego siebie, które Schopenhauer tak długo pozłacał, przebóstwiał i w zaświat przerzucał, aż ostatecznie pozostały mu jako »wartości same w sobie«, na których podstawie życiu i sobie samemu rzekł »n i e«. Lecz właśnie przeciw tym instynktom przemawiała ze mnie coraz bardziej zasadnicza podejrzliwość, coraz głębiej podkopujący sceptycyzm! Tu właśnie widziałem wielkie niebezpieczeństwo ludzkości, jej najwznioślejszy wabik i manowiec – dokąd jednak? w nicość? Tu właśnie widziałem początek końca, zastój i wstecz spoglądające znużenie, wolę zwracającą się p r z e c i w życiu, ostatnią niemoc, zwiastującą się tkliwie i smętnie. Rozumiałem ten coraz szerzej grasujący moral litości, który nawet filozofów dosięgnął i uczynił chorymi, jako najprzykrejszy objaw naszej sprzykrzonej europejskiej kultury, jako jej drogę okrężną ku nowemu buddyzmowi? ku buddyzmowi europejskiemu? ku – n i h i l i z m o w i?... To współczesne uprzywilejowanie przez filozofów i przecenianie litości jest bowiem czemś nowem. Właśnie co do b e z w a r t o w o ś c i litości zgadzali się dotąd filozofowie. Wymieniam tylko Platona, Spinozę, La Rochefoucauld i Kanta, cztery duchy w najwyższym stopniu od siebie odmienne, lecz w jednym zjednoczone: w lekceważeniu litości. –

6.

Problemat w a r t o ś c i litości i moralności litości (– jestem przeciwnikiem haniebnego współczesnego zmiękczenia uczuć –) wydaje mi się nasamprzód czemś wyosobnionem, znakiem pytania dla siebie; kto jednak raz tu utknie, tu pytać się n a u c z y, temu przydarzy się,

co mnie się przydarzyło: – ogromny nowy widnokrąg otworzy się przed nim, możliwość chwyci go jak zawrót głowy, wyskoczą wszystkie rodzaje nieufności, podejrzenia, strachu, wiara w moralność, w wszelką moralność, w wszelki moralizm zachwieje się; – w końcu odezwie się głośno nowe żądanie. Wymówmy je, to nowe żądanie: potrzeba nam krytyki wartości moralnych, samą wartość tych wartości należy raz podać w wątpliwość – a do tego potrzeba znajomości warunków i okoliczności, z których wyrosły, wśród których się rozwijały i przesuwały (moralność jako skutek, jako symptom, jako maska, jako świętoszkostwo, jako choroba, jako nieporozumienie; lecz także moralność jako przyczyzna, jako środek leczniczy, jako *stimulans*, jako zapor, jako trucizna), znajomości, która ani dotąd nie istniała, ani nawet choćby tylko pożądana nie była. Przyjmowano wartość tych »wartości« jako daną, jako faktyczną, jako leżącą poza wszelkiem podawaniem w wątpliwość. Nie było dotąd nawet cienia wątpliwości i wahania w przyznaniu »dobremu« wyższej wartości, niż »złemu«, wyższej wartości w znaczeniu sprzyjania, pożyteczności, dopomagania rozwojowi człowieka w ogóle (wliczając w to przyszłość człowieka). Jak to? Jeśliby odwrotność była prawdą? Jak to? Jeśliby w »dobrem« także tkwił objaw cofania się, tak samo niebezpieczeństwo, uwiedzenie, jad, narkotyk, dzięki którym terażniejszość żyłaby kossztem przyszłości? Może wygodniej, mniej niebezpiecznie, ale i w mniejszym stylu, niżej?... Tak, żeby właśnie moralność była temu winna, jeśliby możliwej samej w sobie najwyższej mocy i wspaniałości typu człowieka nigdy osiągnąć nie miano? Tak, żeby właśnie moralność była niebezpieczeństwem nad niebezpieczeństwami?...

7.

Dość, że ja sam, odkąd mi się widnokrąg ten otworzył, miałem powody do rozglądnięcia się za uczonymi, śmiałymi i pracowitymi towarzyszami (czynię to i dziś jeszcze). Trzeba tę ogromną, rozległą a tak skrytą krainę moralności – moralności, która rzeczywiście istniała, rzeczywiście żyła – objechać z zupełnie nowymi pytaniami; a także z nowymi oczyma: a nie znaczyż to niemal to samo, co tę krainę dopiero odkryć?... Jeślim przytem, między innymi, pomyślał także o wymienionym d-rze Rée, to tylko dlatego, że nie wątpiłem wcale, że on sam z natury swych zagadnień pchnięty zostanie ku metodyce właściwszej dla osiągnięcia odpowiedzi! Czyż się w tem omyliłem? W każdym razie życzeniem mojem było wskazać tak bystremu i bezstronnemu oku lepszy kierunek, kierunek ku rzeczywistej historii moralności i zawczasu jeszcze przestrzec go przed takim angielskim stawianiem hipotez »na błękit«. Przecie jasne jest jak na dłoni, która barwa dla genealoga moralności stokroć ważniejsza być musi, niż właśnie błękit: mianowicie szara, to jest to, co dokumentalne, rzeczywiście dające się stwierdzić, co rzeczywiście istniało, słowem, całe długie, trudne do odcyfrowania, hieroglificzne pismo ludzkiej przeszłości moralnej! – Ta była d-rowsi Rée nieznaną; lecz czytał Darwin: – i tak to w hipotezach jego podają sobie grzecznie rękę, w sposób co najmniej zabawny, darwinowska bestya i najnowocześniejszy skromny, przeczuleniec moralny, który »już nie kąsa«; ostatni z wyrazem pewnej uprzejmej i wytwornej niedbałości w obliczu, zmieszanej nawet z granem pesymizmu i znużenia, jak gdyby się właściwie nie opłacało wcale brać tych wszystkich spraw – problemów moralnych – tak poważnie. Mnie zaś wydaje się przeciwnie, że niema wcale żadnych rzeczy, któreby bardziej opłacały to, że się je bierze poważnie. Jakąż to jest naprzykład nagrodą, że może pewnego dnia otrzymać się pozwolenie brać je pogodnie. Pogoda bowiem, lub by to w moim wyrazić języku, wiedziana – jest nagrodą: nagrodą za długą, dzielną, pracowitą i podziemną powagę, która oczywiście nie jest rzeczą każdego. W dniu jednak, w którym z całego serca powiemy: »naprzód! i nasza stara moralność należy do komedyi!«, odkryjemy dla dyonizyjskiego

dramatu o »przeznaczeniu duszy« nowe zawikłanie i możliwość – : a on już z niej wyciągnie sobie korzyść, o to się można założyć, on, wielki stary wieczny komedyopisarz naszego istnienia!...

8.

– Jeśli pismo to komuś niezrozumiałe będzie, lub źle mu do uszu przypadnie, to wina, jak mi się zdaje, niekoniecznie leży we mnie. Jest ono dość wyraźne, jeśli się przypuści, co ja przypuszczam, że czytało się wprawdzie moje pisma wcześniejsze i nie szczędziło się przy tym nieco trudu. Są one w istocie nie łatwo dostępne. Co się tyczy na przykład mego »Zaratustry«, to nie uważam za jego znawcę nikogo, kogoby każde jego słowo raz kiedyś głęboko nie zraniło i raz kiedyś głęboko nie zachwyciło: dopiero bowiem wtedy może używać przywileju uczestniczenia ze czcią w halikońskim żywiole, z którego się dzieło owo zrodziło, w jego słonecznej jaśni, dali, przestrzenności i pewności. W innych razach forma aforystyczna sprawia trudności: leżą one w tem, że formę tę bierze się dziś n i e d o ś ć w a ż n i e. Aforyzm rzetelnie wykuty i odlany nie został jeszcze przez to, że się go odczytało, »odcyfrowanym«; raczej teraz dopiero winno się zacząć jego w y ł o ż e n i e, do którego potrzeba sztuki wykładania. W trzeciej rozprawie tej książki podałem wzór tego, co w takim wypadku zwę »wyłożeniem«: – rozprawę tę poprzedza aforyzm, ona sama jest jego komentarzem. Oczywiście, aby w ten sposób uprawiać czytanie jako sztukę konieczne jest przede wszystkim jedno, czego się właśnie dziś w najlepsze zapomniało i dlatego nie czas jeszcze na »czytelność« moich pism –, do czego trzeba być prawie krową, a w każdym razie nie »człowiekiem nowoczesnym«: konieczne jest p r z e ż u w a n i e...

SILS-MARIA, Engadyna wyżnia,
w lipcu 1887

ROZPRAWA PIERWSZA:
„Dobre i Złe”, „Dobre i Liche”.

I.

Ci angielscy psychologowie, którym też dotąd zawdzięczamy jedyne usiłowania doprowadzenia do jakiejś historii powstawania moralności, – sami są dla nas niemałą zagadką; wyznam nawet, że właśnie z tego powodu, jako wcielone zagadki, górują czemś istotnym nad swemi książkami – o n i s a m i s ą z a j m u j ą c y! Ci angielscy psychologowie – czegoż chcą oni właściwie? Znajdujemy ich, mniejsza – dobrowolnie czy niedobrowolnie, zawsze przy tem samem dziele, mianowicie wysuwających na pierwszy plan *la partie honteuse* naszego świata wewnętrznego i szukających tego, co jest istotnie czynne, kierownicze i o rozwoju rozstrzygające, tam właśnie, gdzie duma intelektualna człowieka *ż y c z y ł a b y s o b i e* znaleźć je najpóźniej (naprzykład w *vis inertiae* nawyknienia lub w zapominawczości, lub w przypadkowym zadzierzgnięciu się i mechanice idei, lub w czemś czysto biernem, automatycznym, odruchowem, molekularnem i zasadniczo tępem). Cóż gna właściwie tych psychologów zawsze tylko w tym kierunku? Czy jest to tajemny, skrycie złośliwy, prostacki, przed samym sobą może nie zdradzający się instynkt zmniejszania człowieka? Lub może jakaś pesymistyczna podejrzliwość, nieufność rozczarowanych, sposepniałych zjadowiciałych i pozioleńniętych idealistów? Lub małostkowa podziemna nieprzyjaźń i *rancune* przeciw chrześcijaństwu (i Platonowi), która może nawet nie wydostała się ponad próg świadomości? Lub czyżby aż chutne smakowanie w tem, co zadziwiające, boleśnie paradoksalne, wątpliwe i bezsensowne w istnieniu? Lub wreszcie – wszystkiego potrosze, nieco prostactwa, nieco sposepnienia, nieco przeciwchrześcijańskości, nieco łaskotki i potrzeby pieprzu?... Lecz słyszę, że są to prosto stare, zimne, nudne żaby, które wkoło człowieka, w wnętrzu człowieka włożą i skaczą, jak gdyby tu naprawdę były w swoim żywiole, to jest w swem *b a g n i e*. Słucham tego odpornie, co więcej, nie wierzę temu: i jeśli pragnąć można, gdzie wiedzieć nie można, to pragnę z serca, by się odwrotnie rzecz z nimi miała, – by ci badacze i mikroskopicy ducha, byli w gruncie dzielnymi, wielkodusznymi i dumnymi zwierzami, które swe serce i ból swój na wodzy trzymać umieją i wychowały się po to, by wszelką pożądaną złożyć, w ofierze prawdzie, w *s z e l k i e j* prawdzie, nawet prostackiej, cierpkiej, szkaradnej, wstrętnej, niechrześcijańskiej, niemoralnej prawdzie,.. Bo są takie prawdy.–

2.

Czołem więc przed dobrymi duchami, które w tych historykach moralności może władną! Lecz to pewna niestety, że zbywa im na samym duchu *h i s t o r y c z n y m*, że opuściły ich właśnie wszystkie dobre duchy samej historii! Wszyscy oni razem myślą, jak to już starym jest filozofów zwyczajem, z *g r u n t u* niehistorycznie: to nie ulega wątpliwości. Partactwo ich genealogii moralności wychodzi odrazu na jaw tam, gdzie trzeba wyśledzić pochodzenie pojęcia i oceny »dobry«. »Pierwotnie – tak wyrokuje – postęпки nieegoistyczne chwalone były i zwane dobrymi przez tych, którym zostały wyświadczone, więc tych, którym były *p o ż y t e c z n e*; później *z a p o m n i a n o* o tem źródle pochwały, a postęпки nieegoistyczne dlatego poprostu, że *z p r z y z w y c z a j e n i a* chwalono je jako dobre, odczuwano też jako dobre – jak gdyby same w sobie były czemś dobrem». Widać odrazu, że ten pierwszy wywód zawiera prawie wszystkie typowe rysy idyosynkrazji psychologów angielskich, – mamy »pożyteczność«, »zapomnienie«, »przyzwyczajenie« i wkońcu »błąd«, wszystko jako podwalina oceny wartości, z której człowiek wyższy był dotąd przeważnie dumny, jako z pewnego rodzaju przywileju człowieka. Ta duma winna być upokorzona, ta ocena wartości pozbawiona wartości: czy osiągnięto to?... Otóż dla mnie jasne jest najpierw, że teoria ta szuka i umieszcza w miejscu fałszywem właściwe ognisko powstania pojęcia »dobry«: sąd »dobry« *n i e* od tych pochodzi, którym się »dobro« wyświadcza! To raczej sami »dobrzy«, to znaczy do-

stojni, możni, wyżsi stanowiskiem i duchem odczuwali i oznaczali siebie samych i swą działalność jako dobrą, to jest wyższą, w przeciwstawieniu do wszystkiego, co niskie, małoduszne, pospolite i gminne. Z tego patosu o d l e g ł o ś c i dobyli sobie dopiero prawo stwarzania wartości, wykuwania mian wartości. Cóż obchodziła ich użyteczność! Punkt widzenia użyteczności jest właśnie w stosunku do tak gorącego wpływu najwyższych porządkujących i wynoszących wedle stopni ocen wartości tak obcy i nieodpowiedni, jak tylko być może: tu doszło właśnie uczucie do przeciwieństwa owego niskiego stopnia ciepłoty, który każda wyrachowana roztropność, każdy *calcul* użyteczności z góry każe przypuszczać, – i to nie na jeden raz, nie na godzinę wyjątku, lecz na długie trwanie. Patos dostojności i odległości, jak się rzekło, trwałe i dominujące zbiorowe i podstawowe uczucie wyższego i władającego gatunku względem gatunku niższego, pewnego »u dołu« – otóż t o jest źródłem przeciwstawienia pojęć »dobre« i »złe«. (Pańskie prawo nadawania nazw sięga tak daleko, żeby należało sobie pozwolić pojmować źródło samej mowy jako przejaw mocy panujących: mówią oni »to jest tem a tem«, pieczętują każdą rzecz i zdarzenie dźwiękiem i przez to niejako biorą je w posiadanie). Z tego pochodzenia wynika, że słowo »dobry« wcale nie wiąże się z góry koniecznie z nieegoistycznymi postępkami: jak to jest zabobonem owych genealogów moralności. Raczej dopiero z a u p a d k u arystokratycznej oceny wartości narzuca się całe to przeciwstawienie »egoistyczny«, »nieegoistyczny« ludzkiemu sumieniu, a z niem, aby wyrazić się moim językiem, i n s t y n k t s t a d n y dochodzi wkońcu do słowa (także do s ł ó w). A i wtedy wiele czasu jeszcze minie, zanim ten instykt w tej mierze się spanoszy, że moralna ocena wartości zaczepi się właśnie o to przeciwstawienie i utknie (jak to naprzykład stało się w współczesnej Europie: panuje dziś przesąd, który pojęcia »moralny«, »nieegoistyczny«, »*désinteressé*«, za równowartościowe uważa, już z siłą »*idee fixe*« i kołowacizny).

3.

Powtóre jednak, pomijając zupełnie niemożność historycznego ocalenia owej hipotezy o pochodzeniu oceny »dobry«, choruje ona na psychologiczny nonsens w sobie samej. Pożyteczność nieegoistycznego postępu ma być źródłem jego pochwały i źródło to miało pójść w z a p o m n i e n i e: – jakże to zapomnienie jest choćby tylko m o ż l i w e? Czy może użyteczność takich postępków ustała kiedykolwiek? Rzecz ma się przeciwnie: ta użyteczność była owszem codziennym doświadczeniem wszystkich czasów, więc czemś, co ustawicznie zawsze nanowo było podkreślane; przeto zamiast zniknąć ze świadomości, zamiast utonąć w zapomnieniu, musiała się wtłaczać w świadomość z coraz większą wyrazistością. O ile rozsądniejsza jest owa przeciwna teoria (nie jest dlatego prawdziwsza –), której przedstawicielem jest naprzykład Herbert Spencer, uważający pojęcie »dobry« za równe w istocie swej pojęciu »pożyteczny«, »celowy«, tak, że w ocenach »dobry« i »zły« ludzkość zsumowałaby i uświęciła właśnie swe n i e z a p o m n i a n e i n i e z a p o m i n a l n e doświadczenia co do użytecznie-celowego, szkodliwie-bezcelowego. Dobre jest wedle tej teorii to, co się zdawien dawna użytecznym okazało i może w ten sposób jako »cenne w najwyższym stopniu«, »cenne w samym sobie« utrzymać swe znaczenie. I ta droga wyjaśnienia jest, jak się rzekło, fałszywa, lecz przynajmniej wyjaśnienie to samo w sobie jest rozumne i da się psychologicznie obronić. –

4.

– Wskazówką ku w ł a ś c i w e j drodze było mi pytanie, co mają właściwie ukute przez rozmaite języki określenia »dobrego« oznaczać pod względem etymologicznym: wtedy odkryłem, że wszystkie społem naprowadzają n a t ę s a m ą p r z e m i a n ę p o j ę ć, że

wszędzie »dostojny«, »szlachetny« w stanowym znaczeniu jest podstawowym pojęciem, z którego rozwija się nieodparcie pojęcie »dobry« w znaczeniu duchowo »dostojny«, »szlachetny«, »dobrze urodzony«, »duchowo uprzywilejowany«. Rozwój ten biegnie równolegle z owym drugim, który pojęcia »pospolity«, »gminny«, »nizki«, przedzierzga ostatecznie w pojęcie »zły«. Najwymowniejszym przykładem ostatniego jest sam niemiecki wyraz »schlecht«, który jest identyczny z »schlicht« – porównaj »schlechtweg«, »schlechterdings« – i oznaczał pierwotnie prostego, pospolitego człowieka, jeszcze bez podejrzliwej, ubocznej myśli, poprostu jako przeciwieństwo dostojnego. Mniej więcej za czasów wojny trzydziestoletniej, więc dość późno, przechodzi to znaczenie w dziś używane. – W sprawie genealogii moralności zdaje mi się to istotnym wnikiem; że dokonano go dopiero tak późno, winien temu tamujący wpływ, który wywiera przesąd demokratyczny, zakorzeniony w świecie współczesnym w stosunku do wszystkich zagadnień rodowództwa, I to aż do najefektywniejszej pozornie dziedziny wiedzy przyrodniczej i psychologii, o czym tylko nadmieniam. Jaka jednak szkodę przesąd ten, gdy się rozkiełna aż do nienawiści, wyrządzić może szczególnie moralności i historii, okazuje osławiona sprawa Buckla; p l e b e i z m ducha współczesnego, który jest pochodzenia angielskiego, wybuchnął znowu na swej rodzimej ziemi, gwałtownie jak wulkan błotny i z ową przesoloną wrzaskliwą wymową prostacką, z jaką wszystkie dotąd przemawiały wulkany. –

5.

Co do n a s z e g o problemu, który z powodów słusznych c i c h y m problemem nazwany być może i wybrednie ku nielicznym jeno zwraca się uszom, nie będzie rzeczą małej wagi stwierdzić, że częstokroć jeszcze w słowach i źródłosłowach, oznaczających »dobry«, prześwieca ten rys główny, po którym dostojni poczuli się właśnie ludźmi wyższego rzędu. Wprawdzie zwać siebie może w najczęstszych wypadkach poprostu wedle swej wyższości pod względem mocy (»możnowładcami«, »panami«, »rozkazodawcami«) lub wedle najwidoczniejszych oznak tej wyższości, naprzykład »bogatymi«, »posiadającymi« (takie znaczenie ma wyraz *a r y a*; odpowiednio też w erańskim i słowiańskim). Lecz także wedle t y p o w e g o r y s u c h a r a k t e r u; i ten to wypadek tu nas obchodzi. Nazywają się naprzykład »prawdomównymi«, naprzód szlachta grecka, której wyrazem jest megaryjski poeta Theognis. Ukuty na to wyraz oznacza wedle źródłosłowu tego, który j e s t, który posiada rzeczywistość, który jest naprawdę, który jest prawdziwy i potem przez zwrot subiektywny, prawdziwego jako prawdomównego. W tej fazie przemiany pojęcia staje się to słowo hasłem i odzewem szlachty i przybiera całkowicie znaczenie »szlachecki«, dla odgraniczenia od k ł a m l i w e g o pospolitego człowieka, jak go pojmuje i przedstawia Theognis, aż ostatecznie słowo to, po upadku szlachty, pozostaje i niejako dojrzewa słodko do określenia duchowej *noblesse*. W słowie jak i (plebejusz w przeciwieństwie do) podkreślona jest tchórzliwość: to może daje wskazówkę, w którym kierunku trzeba szukać etymologicznego pochodzenia, dającego się różnie wykladać, . W łacinie *malus* (obok którego stawiam) mogło określać człowieka pospolitego jako ciemnobarwnego, przedewszystkiem jako ciemnowłosego (»*hic niger – est*«) jako przedaryjskiego tubylca na ziemi włoskiej, który barwą odcinał się od doszłych do władzy zdobywców płowej, aryjskiej rasy. Przynajmniej język gaelijski podał mi dokładnie odpowiadający wypadek – *fin* (naprzykład w nazwie *Fin-Gal*), słowo odróżniające szlachtę, wkońcu znaczące dobry, szlachetny, czysty, pierwotnie płowogłowy, w przeciwstawieniu do ciemnych, czarnowłosych pramieszkańców. Celtowie, mówiąc nawiasem, byli stanowczo rasą płową. Niesłuszna jest, jeśli się owe (dające się zauważyć na staranniejszych mapach etnograficznych Niemiec) pasy istotnie ciemnowłosej ludności wiąże z jakimś celtyckim pochodzeniem i zmieszaniem krwi, jak to jeszcze Virchow czyni: raczej wybija się na tych miejscach p r z e d a r y j s k a ludność Niemiec. (To samo stosuje się prawie do całej

Europy: w istocie rzeczy rasa podbita wzięta tamże ostatecznie znowu górę, w barwie, w krótkości czaszki, może nawet w intelektualnych i socjalnych instynktach: któż nam zaręczy, czy demokracja nowoczesna i jeszcze nowocześniejszy anarchizm, a mianowicie owa skłonność do komuny, tej najprymitywniejszej formy społecznej, wspólna dziś wszystkim socyalistom Europy, nie jest w gruncie rzeczy olbrzymim o d d ż w i ę k i e m – i czy rasa zdobywców, r a s a p a n ó w, to jest Aryjczyków, fizyologicznie także nie chyli się ku upadkowi? (...). Sądzę, że mogę łacińskie *bonus* wyłożyć jako »wojownik«: przypuściwszy, że słusznie sprowadzam *bonus* do starszego *duonus* (porównaj *bellum* = *duellum* = *duen-lum*, gdzie, zdaje mi się, zawarte owo *duonus*). Więc *bonus*, jako człowiek żyjący w sprzeczce, rozdwojeniu (*duo*), jako wojownik. Widać, co w starym Rzymie stanowiło »dobroć« w mężu. Samo nasze niemieckie »gut«: nie miałoż oznaczać »den göttlichen, męża rodu boskiego? I być jednoznaczne z ludową (pierwotnie szlachecką) nazwą Gotów? Uzasadnienia tego domysłu nie należą tutaj. –

6.

W tem prawie, że pojęcie polityczne pierwszeństwa przechodzi zawsze w pojęcie duchowe pierwszeństwa, nie stanowi jeszcze wyjątku (acz do wyjątków daje sposobność), jeśli najwyższa kasta jest zarazem kastą k a p ł a ń s k ą i stąd dla wspólnego swego określenia wysuwa na czoło orzeczenie, przypominające jej funkcję kapłańską. Tu przeciwstawiają się naprzykład po raz pierwszy »czysty« i »nieczysty« jako oznaki stanowe. I także tu dochodzi później pewne »dobrze« i »źle« już nie w znaczeniu stanowym do rozwoju. Wreszcie należy przestrzec by tych pojęć »czysty« i »nieczysty« nie brać z góry zbyt ciężko, zbyt szeroko lub zbyt symbolicznie: przeciwnie, ledwie dziś wyobrazić sobie można, w jakim stopniu wszystkie pojęcia dawniejszej ludzkości rozumiano początkowo z gruba, niezgrabnie, zewnątrz, ciasno, właśnie i szczególnie n i e s y m b o l i c z n i e. »Czysty« jest to zrazu jedynie człowiek, który się myje, wyrzeka się pewnych potraw, powodujących choroby skórne, który nie sypia z brudnymi kobietami z motłochu, który ma odrazę do krwi, – nic więcej, nie wiele więcej! Z drugiej oczywiście strony z całego ustroju zasadniczo kapłańskiej arystokracji jasno wynika, dlaczego tu właśnie przeciwieństwa ocen tak wcześnie pogłębić i zaostriżyć się zdołały w sposób tak niebezpieczny; i rzeczywiście ostatecznie rozwarły one między człowiekiem a człowiekiem przepaści, których nawet Achilles wolnoduchostwa nie przesadzi bez grozy. Już od początku jest coś n i e z d r o w e g o w takich arystokracjach kapłańskich i w panujących tam, odwróconych od działania, po części w zadumie pogrążonych, po części uczuciowo-wybuchowych nawyknieniach, których następstwem wydaje się owa, czepiająca się nieuchronnie kapłanów wszystkich czasów, chorowitość kiszek i neurastenia. O tem jednak, co oni sami, jako lekarstwo przeciw chorowitości tej wynaleźli, – czyż nie można rzec, że wkońcu w swych skutkach późniejszych okazało się stokroć niebezpieczniejszym od choroby, z której miało wyzwolić? Nawet ludzkość odchorowująca jeszcze następstwa tych kapłańskich naiwności kuracyjnych! Pomyślmy naprzykład o pewnych formach diety (unikanie mięsa), o poście, o wstrzemięźliwości płciowej, o ucieczce »na pustynię« (Weir Miczelowska izolacja, oczywiście bez następującego po niej tuczenia i bez przekarmiania, w których tkwi najskuteczniejszy antydot przeciw wszelkiej histeryi; ideału ascetycznego), wliczywszy w to całą wrogą zmysłom, powodującą gnienie i wyrafinowanie metafizykę kapłanów, ich samohipnotyzowanie na sposób fakira i bramina – *braman*, używane jako guzik szklany i *idée fixe* – i ostateczny zbyt łatwy do pojęcia ogólny dosyt ze swoją radykalną kuracją, nicością (lub Bogiem: – pożądanie owej *unio mystica* z Bogiem jest pożądaniem buddystów, skierowaniem ku nicości, nirwanie – i niczem więcej!). U kapłanów staje się właśnie w s z y s t k o niebezpiecznym, nietylko środki kuracyjne i sztuki lecznicze, lecz i pycha, zemsta, bystrość, wybujałość, miłość, żądza panowania, cnota, choroba. Istotnie, z pewną słuszością możnaby

też dodać, że dopiero na gruncie tej z a s a d n i c z o - n i e b e z p i e c z n e j formy istnienia człowieka, formy kapłańskiej, stał się człowiek wogóle z w i e r z ę c i e m z a j m u j ą c e m, że dopiero tu posiadała dusza ludzka w pewnym wyższym znaczeniu g ł ą b i stała się z ł a – a to są przecie dwie zasadnicze formy dotychczasowej wyższości człowieka nad resztą zwierząt!...

7.

– Czytelnik odgadł już zapewne, jak łatwo kapłańska ocena wartości może się od rycersko-arystokratycznej odgałęzić i potem dalej rozwijać w jej przeciwieństwo. W szczególności bodźcem do tego za każdym razem jest, jeśli kasta kapłańska i wojownicza zazdroszczą sobie wzajem i nie chcą się zgodzić z sobą na punkcie ceny. Założeniem ocen rycersko-arystokratycznych jest potężna cielesność, kwitnące, bogate, nawet przelewne zdrowie, a zarazem to, co jest warunkiem ich utrzymania, więc wojna, przygody, łowy, taniec, igrzyska i wogóle wszystko, w czym tkwi silna, swobodna, radosna czynność. Kapłańsko-dostojna ocena wartości ma – jak widzieliśmy – inne warunki: dosyć złe dla niej, jeśli o wojnę chodzi! Kapłani są, jak wiadomo, n a j g o r s z y m i w r o g a m i – czemuż to? Bo są najbezsilniejsi. Z niemocy wyrasta w nich zawiść do potworności niepokojącej, do najwyższej duchowości i jadowitości. W historii świata najbardziej nienawidzili zawsze kapłani, nienawidzili zarazem najgienialniej: – wobec ducha zemsty kapłańskiej wszelki inny duch nie wchodzi wogóle w rachubę. Dzieje ludzkie byłyby zbyt głupią sprawą bez tego ducha, którego w nie tchnęli bezsilni: – weźmy w tej chwili największy przykład. Wszystko, co przedsięwzięto na ziemi przeciwko »dostojnym«, »gwałcicielom«, »panom«, »dzierzycielom mocy«, nie warto słowa w porównaniu z tem, co przeciwko nim Ż y d z i działali; Żydzi, ten lud kapłański, który na wrogach swoich i gwałcicielach umiał sobie zdobyć ostatecznie zadośćuczynienie tylko przez radykalną przemianę ich wartości, więc przez akt z e m s t y n a j b a r d z i e j d u c h o w e j. Tak jedynie przystało właśnie narodowi kapłańskiemu, narodowi, najbardziej zaczajonej mściwości kapłańskiej. Żydzi to przeciwko arystokratycznemu zrównaniu wartości (dobry = dostojny = możny = piękny = szczęśliwy = bogumiły) odważyli się z przejmującą lekkością konsekwencyą na przewrót i zębami otchłannej nienawiści (nienawiści bezsilnych) utrzymali go, mianowicie, że »nędzni jedynie są dobrzy biedni, bezsilni, nizcy są jedynie dobrzy; cierpiący, niedostatni, chorzy, szkaradni są jedynie niewinni, jedynie błogosławieni, dla nich tylko jest zbawienie, – wy zaś, dostojni i gwałciciele, na wieki wieków jesteście źli, okrutni, rozpustni, nienasyчени, bezbożni, wy też na wieki będziecie zgubieni, przeklęci, potępieni!«... Wiadomo, k t o wziął w spadku tę żydowską przemianę wartości... Co się tyczy potwornej i ponad wszelką miarę fatalnej inicjatywy, którą dali Żydzi tym najbardziej zasadniczym z wszystkich wyzywów wojennych, to przypominam zdanie, które przy innej wypowiedziałem sposobności (»Poza dobrem i złem« str. 126 i nast.), że mianowicie ze zjawieniem się Żydów zaczyna się b u n t n i e w o l n i k ó w n a p o l u m o r a l n o ś c i, ów bunt, który dwutyśiączne ma za sobą dzieje i który dlatego jedynie usunął się nam dziś z przed oczu, bo – zwyciężył...

8.

– Nie rozumiecie jednak tego? Nie macie oczu na coś, co potrzebowało dwóch tysiącleci, by odnieść zwycięstwo?... Temu nie można się dziwić: wszystkie sprawy d ł u g o t r w a ł e trudno jest ujrzeć, przejrzeć. Takie zaś jest to zdarzenie: z pnia owego drzewa zemsty i nienawiści, nienawiści żydowskiej, – najwyższej i najwznioślejszej, bo ideały stwarzającej, wartości przemieniającej nienawiści, której podobnej nigdy nie było na ziemi – wyrosło coś również bezprzykładnego, n o w a m i ł o ś ć, najwyższa i najwznioślejsza z wszystkich ro-

dzajów miłości: – i z jakiegoż innego pnia mogła też być wyrósć?... Nie przypuszczajcie jednak, jakoby wyrosła właśnie jako jakieś zaprzeczenie owego pragnienia zemsty, jako przeciwieństwo nienawiści żydowskiej! Nie, przeciwnie! Ta miłość wyrosła z niej, jako jej korona, jako tryumfująca, w najczystszej jaśni i pełni słonecznej szeroko, coraz szerzej rozwijająca się korona, która w królestwie światła i wyży z tą samą siłą parła ku celom nienawiści, ku zwycięstwu, zdobyczy, uwodzeniu, z jaką korzenie owej nienawiści zatapiały się coraz otchłanniej, coraz zachłanniej we wszystko, co miało głębi i było złe. Ten Jezus z Nazaretu, jako wcielona Ewangelia miłości, ten »Zbawiciel«, przynoszący biednym, chorym, grzesznikom błogobyty i zwycięstwo – nie byłże on właśnie uwiedzeniem w najbardziej niepokojącej i nieodpartej formie, uwiedzeniem i drogą okrężną – właśnie ku owym *ż y d o w s k i m* wartościom i nowinkom ideału? Czyż nie na tej właśnie okrężnej drodze tego »Zbawiciela«, tego pozornego przeciwnika i rozprzężyciela swego, o *s i ą g n ą ł* Izrael najwyższy cel swej wzniosłej mściwości? Czyż nie należy do tajemnych czarnych kunsztów prawdziwie wielkiej polityki zemsty, dalekowidzącej, podziemnej, zwolna sięgającej, wyrachowanej zemsty, to, że sam Izrael musiał się zaprzeć przed całym światem właściwego narzędzia swej zemsty, jak czegoś śmiertelnie wrogiego, i przybić do krzyża, ażeby »świat cały«, mianowicie wszyscy przeciwnicy Izraela, na tę właśnie przynętę bezmyślnie złapać się mogli? A z drugiej strony, czyżby wogóle można z głębi całego wyrafinowania ducha wymyślić *j e s z c z e n i e b e z p i e c z n i e j s z ą p r z y n ę t ę*? Coś, coby wabiącą, ogłuszającą, oszalamiającą, niszczącą mocą dorównać mogło temu symbolowi »świętego krzyża«, temu przejmującemu grozą paradokswi »Boga na krzyżu«, temu misteryum niedającego się pomyśleć, najskrajniejszego ostatecznego okrucieństwa i samoukrzyżowania Boga *d l a z b a w i e n i a c z ł o w i e k a*?... Pewnem jest conajmniej, że *sub hoc signo* Izrael odnosił dotąd ciągle zemstą swoją i przemianą wszystkich wartości tryumf nad wszystkimi innymi ideałami, nad wszystkimi ideałami *d o s t o j n i e j s z y m i*. –

9.

– »Lecz pocóż tu mówić jeszcze o *d o s t o j n i e j s z y c h* ideałach! Trzymajmyż się faktów: zwyciężył lud – czyli »niewolnicy«, czyli »motłoch«, czyli »stado« lub jak wam się wreszcie nazwać podoba. Skoro przez Żydów to się dokonało, dobrze! żaden tedy lud nie miał bardziej wszechdziejowej misji. »Panowie« strąceni; moralność człowieka pospolitego zwyciężyła. Można zwycięstwo to uważać za zatrucie krwi (pomieszało z sobą wszystkie rasy) – nie sprzeciwiam się; niewątpliwie jednak zatrucie to *u d a ł o s i ę*. »Wybawienie« rodzaju ludzkiego (mianowicie od »panów«) jest na najlepszej drodze; wszystko w oczach żydzieje, lub chrześcijanieje, lub gminnieje (cóż zależy na słowach!). Postęp tej trucizny skroś całe ciało ludzkości zda się niepowstrzymanym, jego *tempo* i krok mogą nawet teraz stawać się coraz wolniejsze, delikatniejsze, cichsze, uważniejsze – wszak czasu dość... Czy kościołowi na drodze tego celu przypada dziś jeszcze jakie *k o n i e c z n e* zadanie, wogóle jeszcze jakie prawo do istnienia. Czyby też można obejść się bez niego? *Quaeritur*. Zdaje się, że hamuje on raczej i wstrzymuje ów postęp, miast go przyspieszać? Otóż, właśnie w tem mogłaby być jego pożyteczność... Zapewne, jest on właśnie czemś grubym i chamskim, co sprzeciwia się wytworniejszej inteligencji, prawdziwie współczesnemu smakowi. Czyżby nie powinien się przynajmniej nieco wyrafinować?... Odpycha dziś raczej, niż uwodzi... Któżby z nas był duchem wolnym, gdyby nie było kościoła? Mamy odrazę do kościoła, nie do trucizny... Pominąwszy kościół, lubimy i my truciznę...« – Oto do mej przemowy epilog »ducha wolnego«, zacnego zwierzęcia, jak to dostatecznie okazał, ponadto demokracji; przysłuchiwał mi się dotąd i nie mógł wytrzymać, żem milczał. Ja bowiem mam w tem miejscu wiele do przemilczenia. –

10.

– Bunt niewolników na polu moralności, zaczyna się tem, że *ressentiment* samo twórczem się staje i płodzi wartości: *ressentiment* takich istot, którym właściwa reakcja, reakcja czynu, jest wzbroniona i które wynagradzają ją sobie tylko zemstą w imaginacyi. Podczas gdy wszelka moralność dostojna wyrasta z tryumfującego potwierdzenia siebie samej, moralność niewolnika mówi z góry »nie« wszystkiemu, co »poza nim«, co »inne«, co nie jest »nim samym«: i to »nie« jest jej czynem twórczym. To odwrócenie ustanawiającego wartości spojrzenia – ten k o n i e c z n y kierunek na zewnątrz, miast wstecz ku samemu sobie – jest właśnie właściwe uczuciu *ressentiment*. Moralność niewolników, by powstać, potrzebuje najpierw zawsze świata przeciwnego i zewnętrznego, potrzebuje, mówiąc fizyologicznie, podnieć zewnętrznych, by wogóle działać, – jej akcja jest z gruntu reakcją. Przeciwnie dzieje się z dostojną oceną wartości: działa ona i rośnie spontanicznie, wynachodzi jeno swoje przeciwieństwo, by siebie z tem większą wdzięcznością; tem radośniej potwierdzić, – jej negatywne pojęcie »nizki«, »pospolity«, »zły« jest tylko później zrodzonym, bladym, kontrastowym obrazem w stosunku do jej pozytywnego, na wskroś życiem i namiętnością przepojonego, zasadniczego pojęcia »my dostojni, my dobrzy, my piękni, my szczęśliwi!« Jeśli dostojna ocena wartości targnie się i zgrzeszy przeciw rzeczywistości, to dzieje się to w stosunku do sfery, która nie jest jej dostatecznie znana, owszem przeciw której prawdziwemu poznaniu broni się ona ostro: nie rozumie w danym razie pogardzanej przez siebie sfery, sfery pospolitego człowieka, niskiego gminu; z drugiej strony należy rozważyć, że w każdym razie uczucie pogardy, spoglądania w dół, spoglądania z góry, zgodziwszy się nawet na to, że f a ł s z u j e obraz pogardzanego, dalekiem pozostanie od fałszerstwa, którego zepchnięta nienawiść, zemsta bezsilnego dopuszcza się – oczywiście *in effigie* – względem swego przeciwnika. W rzeczy samej miesza się do pogardy zbyt wiele niedbałości, zbyt wiele lekceważenia, zbyt wiele odwracania oczu i zniecierpliwienia, nawet zbyt wiele własnego uradowania, by zdolna była przemienić swój przedmiot w istotną karykaturę i potwora. Należy wsłuchać się w przychylnie prawie odcienie, wkładane naprzykład przez szlachtę grecką w wszystkie słowa, któremi odróżnia od siebie motłoch, jak się w nie miesza ustawicznie i jak ocukrza je pewien rodzaj pożałowania, względności, wyrozumiałości, aż wkońcu prawie wszystkie słowa, pospolitemu przypadające człowiekowi, pozostały ostatecznie jako wyrazy na »nieszczęśliwy«, »pożałowania godny« (porównaj , dwa ostatnie określają właściwie człowieka pospolitego, jako roboczego niewolnika i zwierzę juczne) – i jak z drugiej strony »zły«, »nizki«, »nieszczęśliwy« nigdy nie przestały dla ucha greckiego brzmieć w tonie, w którego barwie przeważa »nieszczęśliwy«. Jest to dziedzictwo starej, szlachetniejszej, arystokratycznej oceny wartości, która i w pogardzie nie sprzeniewierzyła się sobie (– filologom niechaj przypomniane będzie, w jakim znaczeniu używane są). »Dobrze urodzeni« czuli się właśnie »szczęśliwymi«; nie musieli dopiero przez spojrzenie, skierowane na wrogów swych, konstruować sztucznie swojego szczęścia, w danym razie wmawiać, w k ł a m y w a ć (jak to wszyscy ludzie opanowani przez *ressentiment* czynić zwykli); i umieli również, jako zupełni, siłą uposażeni, przeto z k o n i e c z n o ś c i czynni ludzie, nie oddzielać działania od szczęścia, – być czynnym wliczając z konieczności do szczęścia (skąd swój początek wywodzi) –wszystko to w zupełnem przeciwieństwie do »szczęścia« na szczyblu bezsilnych, uciskanych, owych od jadowitych i nieprzyjaznych uczuć ropiejących ludzi, u których występuje ono zasadniczo jako narkoza, ogłuszenie, spoczynek, pokój, »sabat«, odprężenie umysłu i wyciągnięcie członków, słowem b i e r n i e. Podczas gdy człowiek dostojny żyje ufnie i otwarciem przed samym sobą (»szlachetnie urodzony« podkreśla *nuance* »szczerzy« a również i »naiwny«), to człowiek opanowany przez *ressentiment* nie jest ani szczerzy, ani naiwny, ani z samym sobą uczciwy i otwarty. Jego dusza z e z u j e; duch jego kocha schówki, kryjome dróżki i wrota od tyłu; wszystko, co skryte, ma powab dla niego, jako j e g o świat, j e g o

pewność, j e g o uciecha; zna się on na milczeniu, na niezapominaniu, na czekaniu, na tymczasowym zmniejszaniu się i upokarzaniu. Rasa takich, opanowanych przez *ressentiment* ludzi stanie się wkońcu z konieczności r o z t r o p n i e j s z a, niż jakakolwiek inna rasa dostojna, będzie też czcić roztropność w zgoła innej mierze: mianowicie jako pierwszorzędny warunek istnienia, podczas gdy w ludziach dostojnych ma roztropność lekka, wykwinną przymieszkę zbytku i wyrafinowania: – jest ona bowiem w nich daleko mniej zasadnicza, niż doskonała pewność funkcji regulujących instynktów n i e ś w i a d o m y c h lub nawet pewna nieroztropność, pewne dzielne gnanie na oślep czy to ku niebezpieczeństwu, czy to na wroga, lub owa marzycielska nagłość gniewu, miłości, czci, wdzięczności i zemsty, po których wszelkiego czasu poznawały się dusze dostojne. Nawet *ressentiment* dostojnego człowieka, jeśli się pojawia w nim, spełnia się i wyczerpuje w natychmiastowej reakcji, dlatego nie z a t r u w a: z drugiej strony nie występuje ono wcale w niezliczonych wypadkach, w których nieuniknione jest u wszystkich słabych i bezsilnych. Nie móc zbyt długo pamiętać swoich wrogów, swoich przykrości, nawet swoich z ł o c z y n ó w – to oznaka silnych pełnych natur, w których jest nadwyżka plastycznej, kształtującej, gojącej i zapomnieniem darzącej siły (dobrym tego przykładem z nowoczesnego świata jest Mirabeau, któremu się nie trzymały pamięci żadne wyrządzone mu obelgi i podłości, i który dlatego tylko nie mógł przebaczać, bo – zapominał). Taki człowiek właśnie otrząsa z siebie jednym podrzutem wiele robactwa, które się w innych wżera i w nim jedynie jest możliwa – przypuściwszy, że jest wogóle na ziemi możliwa – właściwa »m i ł o ś ć dla swoich wrogów«. Ileż już czci dla swego wroga ma człowiek dostojny! – a taka cześć jest już mostem do miłości... On pragnie przecie wroga swego dla siebie, jako swego odznaczenia, on nie zniesie przecie żadnego innego wroga, tylko takiego, w którym niema nic do pogardzania, a b a r d z o w i e l e do czczenia! Natomiast przedstawcie sobie »wroga«, jak go pojmuje człowiek opanowany przez *ressentiment*, – i w tem właśnie jest jego czyn, jego twórczość: powziął on koncepcję »złego wroga«, »z ł e g o«, i to jako zasadnicze pojęcie, z którego, jako odbicie i przeciwieństwo, wymyśli sobie »dobrego« – samego siebie!...

11.

Zgoła więc przeciwnie, niż u dostojnego, który koncyduje zasadnicze pojęcie »dobry« naprzód i spontanicznie, mianowicie z samego siebie i stąd dopiero stwarza sobie wyobrażenie »lichy«! To »lichy« pochodzenia dostojnego i owo »zły« z kotła nienasyconej nienawiści – pierwsze jako twór późniejszy, przystawka, barwa dopełniająca, drugie natomiast jako oryginał, początek, właściwy c z y n w pojęciu moralności niewolniczej – jakże różne są te oba, pozornie temu samemu pojęciu »dobry« przeciwstawione słowa »lichy« (*schlecht*) i »zły« (*böse*) Lecz to n i e jest to samo pojęcie »dobry«: raczej zapytać przecie należy, k t o jest właściwie »zły« w znaczeniu moralności, opanowanej przez *ressentiment*. Najściślej odpowiedź: w ł a ś n i e »dobry«, przeciwnej moralności, właśnie dostojny, możny, władający, tylko przebarwiony, przeinaczony, nawywrót widziany jadowitem okiem, którem patrzy *ressentiment*. Tutaj jednemu bynajmniej nie chcemy przeczyć: kto tych »dobrych« poznał tylko jako wrogów, poznał też tylko z ł y c h w r o g ó w. Ci sami ludzie, którzy dzięki obyczajowi, czci, zwyczajowi, wdzięczności, a bardziej jeszcze przez wzajemne strażowanie się i zazdrość *inter pares* tak surowo trzymają się w karbach i którzy z drugiej strony w stosunku do siebie okazują się tak wynalazczymi na punkcie względności, panowania nad sobą, delikatności, wierności, dumy i przyjaźni, – ci sami są nazewnątrz, tam, gdzie się zaczyna co obce, o b c z y z n a, nie wiele lepsi, niż wypuszczone drapieżce. Tam używają zwolnienia od wszelkiego przymusu społecznego, w puszczy wynagradzają sobie napięcie, spowodowane długim zamknięciem i ujęciem w płoty pokoju, p o w r a c a j ą ku niewinności sumienia drapieżców, jako radosne potwory, które może po okropnym szeregu mordów, podpaleń, zgwałceń i zne-

cań się odchodzą z junactwem i równowagą duchową, jakby spełnili jeno psotę uczniacką, w przekonaniu, że poeci znów na długo będą mieli co opiewać i sławić. Na dnie wszystkich tych ras dostojnych nie należy przeczoć drapieżcy, tej wspaniałej, za zdobyczą i zwycięstwem lubieżnie wężącej, p ł o w e j b e s t y i; dla tego ukrytego podłoża potrzeba co pewien czas wyładowania, zwierzę musi na wierzch się wydobyć, musi znów wrócić do puszczy: – szlachta rzymska, arabska, germańska, japońska, bohaterowie homeryczni, skandynawscy wikingowie – wszyscy jednakowo czuli tę potrzebę. Właśnie rasy dostojne pozostawiły pojęcie »barbarzyńcy« na wszystkich śladach swojego pochodzenia; jeszcze najwyższa ich kultura zdradza świadomość tego i nawet dumę (naprzykład, gdy Perykles mówi Ateńczykom, w owej sławnej mowie pogrzebowej, «ku wszystkim lądom i morzom utorowała sobie drogę śmiałość nasza, wznosząc sobie wszędzie nieprzemijające pomniki dobrego i z ł e g o»). Ta »śmiałość« ras dostojnych, szalona, niedorzeczna, nagła w swym wyjawieniu, ta nieobliczalność, nawet nieprawdopodobieństwo jej przedsięwzięć – Perykles podnosi i kładzie nacisk na Ateńczyków – obojętność i pogarda dla bezpieczeństwa, ciała, życia, wygody, jej przerażająca pogoda i głęboka rozkosz w wszelkim niszczeniu, we wszystkich uciechach zwycięstwa i okrucieństwa – wszystko to składało się dla cierpiących z tego powodu na obraz »barbarzyńcy«, »złego wroga«, coś jakby »Gota«, »Wandala«. Głęboka, lodowa nieufność, którą Niemiec wzbudza, skoro do władzy dojdzie, i teraz znowu – jest zawsze jeszcze oddźwiękiem owego niewygasłego przerażenia, z jakim przez całe stulecia Europa przyglądała się wściekłemu szalowi płowej bestyi germańskiej (aczkolwiek pomiędzy starymi Germanami a nami Niemcami nie zostało się żadne powinowactwo pojęcia, a cóż dopiero krwi). Zwróciłem raz uwagę na zakłopotanie Hezydoda, gdy wymyślał następstwo epok kulturalnych i starał się je wyrazić w złocie, srebrze, spiżu: nie umiał on sobie z sprzecznością, którą mu nastęrczał wspaniały, lecz zarówno grozą przejmujący, gwałtem dyszący, świat Homera, poradzić inaczej, niż dzieląc jedną epokę na dwie, którym kazał teraz następować po sobie. Najpierw epoce bohaterów i półbogów z Troi i Teb, tak jak ten świat zachował się w pamięci szczepów dostojnych, które w nim miały własnych praszczurów; potem epoce spiżowej w sposób, w jaki ten sam świat jawił się potomkom zdeptanych, ograbionych, katowanych, uprowadzonych, sprzedanych: epoce spiżu, jak się rzekło, twardej, zimnej, srogiej, bez czucia i sumienia, wszystko miażdżącej i krwią zlewającej. Zgodziwszy się na to, iż prawdziwe jest, co się i tak dziś za »prawdę« uważa, że z n a c z e n i e w s z e l k i e j k u l t u r y leży właśnie w tem, by z drapieżnego zwierza »człowieka« wyhodować obłaskawione, cywilizowane zwierzę, z w i e r z ę d o m o w e, toby należało bezsprzecznie wszystkie owe instynkty reakcyi i *ressentiment*, z których pomocą szczepy dostojne i ich ideały zostały w końcu zhańbione i przemożone, uważać za właściwe n a r z ę d z i a k u l t u r y; przez co wcale jeszcze nie powiedziano, jakoby i c h p r z e d s t a w i c i e l e byli zarówno wyobrazicielami samej kultury. Raczej coś przeciwnego byłoby nietylko prawdopodobne – nie! jest to dziś o c z y w i s t e! Ci przedstawiciele owych w dół gniotących, dyszących żądzą odwetu instynktów, ci potomkowie wszelkiego europejskiego i nieeuropejskiego niewolnictwa, w szczególności wszelkiej ludności przedaryjskiej, – oni przedstawiają c o f a n i e s i ę ludzkości! Te »narzędzia kultury« są hańbą człowieka i raczej podejrzeniem, przeciwdowodem względem »kultury« wogóle! Można mieć zupełną słuszność, jeśli ktoś nie może się wyzbyć obawy przed płową bestyą na dnie wszelkich ras dostojnych i ma się na baczności; lecz któżby po stokroć nie wolał bać się, jeśli zarazem podziwiać może, niż n i e bać się, lecz przytem nie móc pozbyć się bardziej odrażającego widoku nieudaności, zmniejszenia, zniedołężnienia, zatrucia? A czyż nie jest to n a s z a fatalność? Cóż wywołuje dziś n a s z ą niechęć ku »człowiekowi«? – bo człowiek nam d o l e g a, to niewątpliwe. – Nie obawa; raczej to, że nie mamy już czego bać się w człowieku; że to robactwo »człowiek« na pierwszym jest planie i mrowi się; że, »człowiek obłaskawiony«, ten nieuleczalnie mierny i niepokrzepiający, nauczył się już czuć siebie celem i szczytem, myślą dziejów, »człowiekiem wyższym«; – ba, że ma pewne prawo czuć się takim, o ile w prze-

rwach nadmiaru nieudaności, chorowitości, znużenia, przeżycia, którem Europa dziś śmierdzieć poczyna, czuje się czemś przynajmniej względnie udanem, przynajmniej jeszcze zdolnym do życia, przynajmniej życiu przyświadczającym...

12.

– Nie tłumię w tem miejscu westchnienia i ostatniej nadziei. Cóż jest właśnie dla mnie najnieznośniejsze? To, z czem ja sam dojść nie mogę do ładu, co mnie dusi i dławi? Zepsute powietrze! Zepsute powietrze! Że coś nieudanego zbliża się do mnie; że muszę wachać trzewia nieudanej duszy!... Ileżto zresztą człowiek nie wytrzyma niedoli, niedostatku, niepogody, cherlactwa, mozołu, osamotnienia? W gruncie rzeczy da sobie z wszystkim radę, jako że urodzony do podziemnego, wojującego istnienia; znowu kiedyś wydostanie się na światło, znowu przeżyje swą złotą godzinę zwycięstwa – i znowu stoi wtedy, jak się urodził, niezłomny, napięty, gotów do tego, co nowe, jeszcze trudniejsze, dalsze, jak łuk, który wszelka potrzeba tylko sprężniej jeszcze napina. – Lecz kiedy niekiedy pozwólcie mi – rozumie się, jeśli istnieją sprzyjające niebianki, poza dobrem i złem – na jedno spojrzenie, pozwólcie mi jedno spojrzenie tylko rzucić na coś doskonałego, do końca udanego, szczęśliwego, potężnego, tryumfującego, w czem jeszcze bać się jest czego! Na człowieka, który jest usprawiedliwieniem człowieka, na jakiś dopełniający i wyzwalający pomyślny okaz człowieka, gwoli któremu byśmy w i a r ę w c z ł o w i e k a zachować śmieli!... Bo tak ma się rzecz: zmniejszenie i wyrównanie człowieka europejskiego kryje n a s z e największe niebezpieczeństwo, bo widok ten nuży... Nie widzimy dziś nic, co chce się stać większem, przeczuwamy, że to wciąż jeszcze wstecz i wstecz iść będzie, w coraz większą rozcieńczoność, w coraz większą dobroduszość, roztropność, wygodę, mierność, obojętność, chińszczyznę, chrześcijańskość – człowiek, to niewątpliwe, stawać się będzie coraz »lepszym«... W tem właśnie tkwi grożące fatum Europy, – wraz z obawą przed człowiekiem postradaliśmy i miłość dla niego, cześć dla niego, nadzieję i chęć ku niemu. Widok człowieka już nuży – czemże dziś jest nihilizm, jeśli nie t e m?... Znużyliśmy się c z ł o w i e k i e m...

13.

– Jednak zawróćmy: problemat i n n e g o początku »dobrego«, dobrego, jak go wymyślił sobie człowiek opanowany przez *ressentiment*, domaga się skończenia. – Że jagnięta czują urazę do wielkich ptaków drapieżnych, to nie dziwota: lecz to jeszcze nie powód, by brać za złe wielkim ptakom drapieżnym, że porywają małe jagnięta. A jeśli jagnięta mówią między sobą: »te ptaki drapieżne są złe; a kto jest jak najmniej ptakiem drapieżnym, owszem jego przeciwieństwem, jagnięciem – nie miałaby być dobry?«, to nie można takiemu postawieniu ideału nic zarzucić, jakkolwiekby ptaki drapieżne nieco szyderczo na to spoglądały i może mówiły sobie: »my nie gniewamy się na nie, na te dobre jagnięta, kochamy je nawet: niema nic smaczniejszego nad delikatne jagnię«. – Żądać od siły, by objawiała się n i e jako siła, aby nie była chęcią przemożenia, chęcią obalenia, chęcią owładnięcia, pragnieniem wrogów i oporów i tryumfów, jest równie niedorzeczne, jak żądać od słabości, by objawiała się jako siła. Pewne *quantum* siły jest właśnie takim *quantum* popędu woli, działania – owszem, nie jest niczem innym, jak właśnie samym popędem, chceniem, działaniem, a inaczej zdawać się może tylko dzięki zwodniczości mowy, (i skamieniałym w niej zasadniczym błędowi rozumu), która wszelkie działanie rozumie jako uwarunkowane tem, co działa, »podmiotem« i mylnie rozumie. Tak samo bowiem, jak lud oddziela błyskawicę od jej światła i to ostatnie

uważa jako jej c z y n n o ś ć, jako działanie podmiotu, który się zwie błyskawicą, tak moralność tłumy także oddziela siłę od zewnętrznych siły objawów, jak gdyby poza silnym istniało obojętne podścielisko, któremu jest p o z o s t a w i o n e d o w o l i, objawiać siłę, lub też nie. Lecz niema takiego podścieliska; niema żadnego »bytu« poza czynieniem, działaniem, stawianiem się; »czyniciel« jest tylko zmyśleniem do czynienia dodanem – czynność jest wszystkim. Tłum podwaja w gruncie czynność, każąc błyskawicy świecić; jest to czynczyn: to samo zdarzenie stawia raz jako przyczynę, a potem jeszcze raz jako jej skutek. Przyrodnicy nie czynią lepiej, mówiąc: »siła porusza, siła powoduje« i t. p. – cała wiedza nasza stoi jeszcze, mimo cały swój chłód, wyzbycie się uczucia, pod uwodnym wpływem mowy i nie wyzbyła się jeszcze podrzuconych bękartów, »podmiotów« (atom jest, na przykład, takim podrzutkiem, tak samo kantowska »rzecz sama w sobie«). Cóż za dziwota, gdy upośledzone, skrycie tłące uczucia, zemsta i nienawiść, wyzyskują dla siebie tę wiarę i w gruncie nie zachowują nawet żadnej wiary żarliwiej, niż tę, że jest p o z o s t a w i o n e w o l i s i l n e g o być słabym, a drapieżnemu ptakowi jagnięciem: – zyskują tem przecie wobec siebie samych prawo w i n i e n i a ptaka drapieżnego, że jest ptakiem drapieżnym... Jeśli uciśnieni, zdeptani, przemocą zgębnieni z mściwej chytrności bezsiły wmawiają w siebie: »pozwólcie nam być innymi, niż źli, to jest dobrymi! a dobrym jest każdy, kto nie działa przemocą, kto nikogo nie zadraśnię, nikogo nie zaczepi, nikomu nie odplaci w odwecie, który zemstę Bogu przekazuje, który jak my trzyma się w ukryciu, który wszystkim złemu schodzi z drogi i wogóle mało wymaga od życia, podobnie jak my, cierpliwi, pokorni, sprawiedliwi« – nie znaczy to, dla słuchających na zimno i bez uprzedzenia, właściwie nic innego, niż »my, słabi, jesteśmy niestety słabi, dobrze jest, jeśli nie czynimy nic, d o c z e g o n i e j e s t e ś m y d o ś ć s i l n i«; lecz ten cierpki stan rzeczy, ta roztropność najniższego rzędu, którą mają nawet owady (przecie udają martwość, by nie »za wiele« czynić wobec wielkiego niebezpieczeństwa), przybrała dzięki owemu fałszerstwu i samoobludzie bezsilny strój pełnej zaparcia się, cichej, wyczekującej cnoty, jak gdyby słabość słabego – to znaczy przecie jego i s t o t a, jego działanie, jego nieunikniona, nieodłączna rzeczywistość – była dobrowolnym wysiłkiem, czemś chcianem, czemś z wyboru, c z y n e m, z a s ł u g ą. Temu rodzajowi człowieka p o t r z e b a wiary w obojętny, mający wolność wyboru »podmiot«, z instynktu samozachowawczości, samopotwierdzenia, w którym każde kłamstwo uświęcać się zwykło. Podmiot (lub, by rzec popularnie, d u s z a) był może dlatego dotychczas na ziemi najlepszą podwaliną wiary, że przeważnej liczbie śmiertelnych, słabym i uciemionym wszelkiego rodzaju, umożliwił owo wzniosłe oszustwo samych siebie, wykładające nawet słabość jako wolność, a to, że są tacy, nie inni, jako z a s ł u g ę.

14.

– Czy chce kto spojrzeć nieco w dół, w serce tajemnicy, jak się na ziemi takie f a b r y k u j e i d e a ł y? Kto ma odwagę ku temu?... Nuże więc! Oto otwarta oku droga w ten ciemny warsztat. Poczekaj pan jeszcze chwilkę, mój panie wścibski i śmiałku. Pańskie oko musi przywyknąć wpierrw do tego uludnego, mieniącego się światła... Tak! Dość! Mów pan teraz! Cóż się tam w dole dzieje? Wypowiedz, co widzisz, człeku o najniebezpieczniejszej ciekawości – teraz j a b ę d ę się przysłuchiwał. –

– »Nie widzę nic, słyszę tem więcej. Jakieś przezorne, chytre, ciche mruczenie i szeptanie ze wszystkich kątów i zakątków. Zdaje mi się, że kłamią; cukrowa słodycz oblepia dźwięk każdy. Mają słabość na z a s ł u g ę łgarstwem przenicować, nie ulega wątpieniu – rzecz ma się, jakeś pan mówił« –

– Dalej!

– »a niemoc, nie szukającą odwetu, na »dobroć«; trwożliwą nizkość na »pokorę«; uległość wobec tych, których się nienawidzi, na »posłuszeństwo« (mianowicie względem tego, o którym mówią, że nakazuje uległość – nazywają go Bogiem). Brak zaczepności w słabym, nawet tchórzostwo, w które jest bogaty, jego wystawianie u drzwi, nieunikniony dlań mus czekania dochodzą tu do pięknego imienia, jako »cierpliwość«, to też zwie się samą c n o t ą; niemożność zemsty zwie się niechceniem zemsty, może nawet przebaczeniem (»bo o n i nie wiedzą, co czynią – my jedynie wiemy, co o n i czynią!«). Mówią tu też o »miłości dla wrogów swoich« i pocą się przytem«.

– Dalej!

– »Są nędzni, bez wątpienia, te mruki i pokątni fałszerze monet, choć siedzą w kupie i grzeją się wzajem – lecz mówią oni, że nędza ich jest wybraniem i odznaczeniem przez Boga, że bije się psy, które najbardziej się lubi; może też jest ta nędza przygotowaniem, doświadczeniem, szkołą, a może jeszcze czemś więcej – czemś, co kiedyś wyrównane zostanie i wypłacone olbrzymiami odsetkami w złocie, nie! w szczęściu. To zwą »szczęśliwością«.

– Dalej!

– »Teraz dają mi do zrozumienia, że nietylko są lepsi od możnych, panów ziemi, których plwociny lizać muszą (n i e z trwogi, bynajmniej nie z trwogi! lecz tylko, że Bóg każe czcić wszelką zwierchność) – że nietylko są lepsi, lecz także, że »jest im lepiej«, w każdym razie kiedyś będzie im lepiej. Lecz dość! dość! Nie wytrzymam dłużej. Zepsute powietrze! Zepsute powietrze! Ten warsztat, gdzie f a b r y k u j e s i ę i d e a ł y – zda mi się, śmierdzi od tych wszystkich kłamstw«.

– Nie! Jeszcze chwilę! Nie powiedzieli jeszcze nic o majstersztyku tych czarnych kunsztów, które z czarnego robią białe, mleko i niewinność; – nie zauważyłeś pan, co jest szczytem ich *raffinement*, najśmielszym, najsubtelniejszym, najbardziej duchowym, najkłamliwszym popisem ich artyzmu? Baczość! Te piwniczne zwierzęta, pełne zemsty i nienawiści – cóż to one robią z zemsty i nienawiści? Czyś słyszał pan kiedy te słowa? Czybyś przypuszczał, gdybyś tylko ich słowom ufał, żeś jest między samymi ludźmi opanowanymi przez *ressentiment*?...

– »Rozumiem, otwieram raz jeszcze uszy (ach! ach! ach! a z a t y k a m nos). Teraz dopiero słyszę, co już tak często mówili: »My dobrzy – my j e s t e ś m y s p r a w i e d l i w i – tego, czego pragną, nie nazywają odwetem, jeno »tryumfem s p r a w i e d l i w o ś c i«; to, czego nienawidzą, to nie ich wróg, nie! nienawidzą »n i e s p r a w i e d l i w o ś c i«, »bezbożności«; to, w co wierzą i czego spodziewają się, to nie nadzieja zemsty, upojenie słodkiej zemsty (– »słodsza od miodu« nazwa! ją już Homer), lecz »zwycięstwo Boga, Boga s p r a w i e d l i w e g o nad bezbożnymi«; co jeszcze ich miłości pozostało na ziemi, to nie ich bracia w nienawiści, lecz ich »bracia w miłości«, jak mówią, wszyscy dobrzy i sprawiedliwi na ziemi«.

– A jakże nazywają to, co jest im pocieszeniem we wszystkich cierpieniach ziemi – swą fantasmagoryę przypuszczonej przyszłej szczęśliwości?

– »Co? Czy dobrze słyszę? Nazywają to »sądem ostatecznym«, przyjściem ich królestwa, »królestwa bożego« – t y m c z a s e m jednak żyją »w wierze«, »w miłości«, »w nadziei«.

– Dość! Dość!

15.

– W wierze w co? W miłości czego? W nadziei czego? – Ci słabi chcą bowiem, by kiedyś i o n i byli silni, to niewątpliwe; kiedyś ma nadejść i ich »królestwo« – »królestwem bożem« zwą to poprostu, jak się rzekło: są przecie we wszystkim tak pokorni. Już aby t e g o dożyć, trzeba długo żyć, poza granicę śmierci, – nawet potrzeba w i e c z n e g o życia, aby przez wieczność można doznawać w »królestwie bożem« odszkodowania za owo życie ziemskie »w wierze, miłości i nadziei«. Odszkodowania za co? Odszkodowania przez co?... Dante, zda mi się, omylił się grubo, gdy z przejmującą lękiem prostotą ten nad bramą swego piekła poło-

zył napis: »i mnie stworzyła miłość wieczna«. Nad bramą chrześcijańskiego raju i jego wiecznej szczęśliwości mógłby być w każdym razie z większą słusnością wyryty napis: »i mnie stworzyła wieczna n i e n a w i ś ć« – przypuściwszy, że prawda mogłaby być wypisana nad drzwiami do kłamstwa! Bo c z e m ż e jest szczęśliwość wieczna?... Możebyśmy nawet odgadli; lepiej jednak, że zaświadczy nam to wyraźnie taka w tych rzeczach powaga, której lekceważyć nie można, Tomasza z Akwinu, wielki nauczyciel i święty. »*Beati in regno coelesti*, mówi łagodnie jak jagnię, *videbunt poenas damnatorum, ut beatitudo illis magis complacere*«. Lub czy chcecie w silniejszym słyszeć to tonie, z ust tryumfującego ojca kościoła, który swym chrześcijanom odradzał okrutnych rozkoszy publicznych widowisk – czemuż to? »Wiara używa nam przecie daleko więcej – mówi, *de spectac. c. 29 ss.* –, czegoś o w i e l e s i l n i e j s z e g o. Dzięki zbawieniu rozporządzamy przecie innemi ucieshami; miast atletów mamy swych męczenników; jeśli krwi chcemy, oto mamy krew Chrystusa... A cóż dopiero oczekuje nas w dniu jego powrotu, jego tryumfu!« – i teraz ciągnie dalej, zachwycony jasnowidz: »*At enim supersunt alia spectacula, ille ultimus et perpetuus iudicii dies, ille nationibus insperatus, ille derisus, cum tanta saeculi vetustas et tot ejus nativitates uno igne haurientur. Que tunc spectaculi latitudo! Quid admirer! Quid rideam! Ubi gaudeam! Ubi exultem, spectans tot et tantos reges, qui in coelum recepti nuntiabantur, cum ipso Iove et ipsis suis testibus in imis tenebris congemescerent. Item praesides (namiestnicy prowincyi) persecutores dominici nominis saevioribus quam ipsi flammis saevierunt insultantibus contra Christianos liquescentes! Quos praeterea sapientes illos philosophos coram discipulis suis una conflagrantibus erubescerent, quibus nihil ad deum pertinere suadebant, quibus animas aut nullas aut non in pristina corpora redituras affirmabant! Etiam poetas non ad Rhadamanti nec ad Minois, sed ad inopinati Christi tribunal palpitantes! Tunc magis tragoedi audiendi, magis scilicet vocales (bardziej przy głosie, jeszcze gorsi krzykacze) in sua propria calamitate; tunc histriones cognoscendi, solutiores multo per ignem; tunc spectandus auriga in flammea rota totus rubens, tunc xystici contemplandi non in gymnasiis, sed in igne jaculati, nisi quod ne tunc quidem illos velim vivos, ut qui malim ad eos potius conspectum in s a t i a b i l e m conferre, qui in dominum desaevierunt. 'Hic est ille, dicam, fabri aut quaestuariae filius (jak wykazuje ciąg dalszy, a w szczególności i to z Talmudu znane określenie matki Jezusa, ma Tertulian odtąd na myśli Żydów), sabbati destructor, Samarites et daemonium habens. Hic est quem a Juda redemistis, hic est ille arundine et colaphis diverberatus, sputamentis dedecoratus, felle et aceto potatus. Hic est, quem clam discentes subripuerunt, ut resurrexisse dicatur vel hortulanus detraxit, ne lactucae suae frequentia commeantium laederentur'. Ut talia spectes, u t t a l i b u s e x u l t e s, quis tibi praetor aut consul aut quaestor aut sacerdos de sua liberalitate praestabit? Et tamen haec jam habemus quodammodo per f i d e m spiritu imaginante repraesentata. Ceterum qualia illa sunt, quae nec oculus vidit nec auris audivit nec in cor hominis ascenderunt? (I. Cor. 2, 9.) Credo circo et utraque cavea (pierwszy i czwarty rząd lub, wedle innych, scena komiczna i tragiczna) et omni stadio gratiora"...* – P e r f i d e m : tak napisano.

16.

– Zdążajmy do końca. Te obie p r z e c i w s t a w n e wartości »dobry i lichy (*schlecht*)«, »dobry i zły (*böse*)« toczyły na ziemi straszliwą, tysiącolecia trwającą walkę. A jakkolwiek ta druga wartość oddawna przeważa, nie braknie jednak i dziś jeszcze miejsc, gdzie nierozstrzygnięta walka dalej się toczy. Możliwe nawet rzec, że się tymczasem coraz wyżej w górę wznosiła i właśnie przez to coraz bardziej pogłębiała i uduchowiała: tak że niema dziś może bardziej rozstrzygającego znaku »n a t u r y w y ż s z e j«, natury bardziej duchowej, niż być w rozdzieleniu pod każdym względem i być polem walki owych przeciwstawień. Symbol tej walki, wyrażony pismem, które poprzez wszystkie dzieje ludzkie dotychczas pozostało, czy-